POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 26 STYCZNIA 1929 ROKU NR. 4

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

MECHANIZM ŻYCIA

17)

Nieznany przechodzień przedstawiał dla niej przedewszystkiem możność ucieczki przed samotnością. I myśl, że będzie mogła choćby przez czas drogi do domu z kimkolwiek i o czemkolwiek mówić, miała taki urok, że panna Czesława odezwała się po chwili milczenia.

— A dokąd.

— To już od pani zależy.

— Jakto odemnie.

— Wybór lokalu. Zjemy kolację, porozmawiamy o różnych ciekawych rzeczach, a całość sama się złoży.

— Dobrze — zdecydowała się nagle panna Czesława.

— Więc dokąd.

— Ale do gabinetu — dodała szybko. Nie mogła się przecież jako narzeczona Przecławskiego pokazywać z nieznajomymi mężczyznami na sali. I rozgrzeszała się odrazu ze swej decyzji. Przecież nawet, gdy opowie wszystko Przecławskiemu, to nie będzie miał do niej pretensji. Zrozumie, że chodziło jej tylko o to, żeby na kilka godzin zająć czemś myśli. Delikatny i sympatyczny wygląd nieznajomego budził w niej zresztą zaufanie. Napewno nie będzie sobie odrazu na wszystko pozwalał.

— Skoro pani sobie życzy, to chodźmy do gabinetu — zgodził się młody człowiek.

Zdawał już sobie sprawę, że nie ma do czynienia ze zwyczajną kokotą. Panna Czesława odgadła to instynktownie, chciała jednakże swoją sytuację społeczną silniej podkreślić.

— Pan sobie napewno wyobraża...

— Ależ ja się znam na ludziach, proszę pani, i to sobie wyobrażam, co sobie powinienem wyobrażać.

Dokładniej panna Czesława przyjrzała mu się dopiero w gabinecie. I pozostała przy pierwszem sympatycznem wrażeniu. Był dość przystojny i miał bardzo wesoły wyraz oczu. Z zachowania się widać było człowieka bardzo dobrze wychowanego. Pannie Czesławie przyszło na myśl, że mógł znać Przecławskiego i zapytała go o to.

Młody człowiek spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Tego, który zwarjował?

— Nie, nie zwarjował — wybuchnęła panna Czesława.

— Nie wiem, o kogo pani chodzi. Jest wielu Przecławskich.

— Pan zna wszystkich?

— Ani jednego.

— Nie zna pan — powtórzyła z takiem rozczarowaniem w głosie, że w oczach młodego człowieka odbiło się jeszcze większe zdumienie.

— A cóż pani tak zależy na Przecławskich?

— Zdawało mi się, że pan powinien był znać prezesa Przecławskiego.

— Tego działacza społecznego, który odczyty miewał?

— Tak.

— Znam jego kuzynkę.

Panna Czesława zerwała się z krzesła.

— Zna pan?

— Jak się nazywa?

— Calewiczowa.

— Czy pan ma jej adres?

— Adresu nie mam, ale może pani zatelefonować do niej do biura.

— Boże, jak to dobrze, że ja pana spotkałam.

I panna Czesława zarzuciła swego towarzysza pytaniami, tyczącemi się Calewiczowej. Stosunkowo do tego, co chciała wiedzieć, mógł jej udzielić tylko bardzo niewystarczających i ogólnikowych wiadomości. Znał Calewiczową z biura, o prywatnem jej życiu nic nie wiedział. Mimo to panna Czesława raz po raz powtarzała pytania, na które przed chwilą otrzymała przeczące odpowiedzi. Wywierała wrażenie istoty nawpół przytomnej. I rzeczywiście, tak była pochłonięta myślami o Przecławskim, że na to, co się bezpośrednio dookoła niej działo, nie zwracała uwagi. Młody człowiek nalewał jej wódkę i machinalnie piła kieliszek za kieliszkiem. Przypadkowe natrafienie na ślad jakiejś kuzynki Przecławskiego odrazu niweczyło wszystkie ścieżki i labirynty, po których tłukły się dotychczas jej myśli. Ratunek widziała już teraz tylko w tej tajemniczej pani Calewiczowej i w rodzinie Przecławskiego. Do Przecławskiej straciła nagle zaufanie, a w sekundę potem uważała ją już za największego wroga. Miała wrażenie, że dopiero w tej chwili rozproszył jej się jakiś tuman w mózgu i zrozumiała prawdę. Postanowiła nie chodzić do Witeckiego. I znów przerwała młodemu człowiekowi w połowie jakieś zdanie.

— A może pan zna adwokata Kazimierza Witeckiego?

— I nic pan o nim nie słyszał?

— Pierwszy raz w życiu dowiaduję się od pani, że istnieje taki adwokat.

— Szkoda.

— Pani mnie uważa za biuro informacyjne.

Młody człowiek powiedział to z ironicznym przekąsem, ale patrzał na pannę Czesławę z coraz bardziej rosnącem zaciekawieniem. Przygoda, której już zaczynał żałować, gdy przekraczali próg gabinetu (byłby się może cofnął, gdyby nie brak odwagi cywilnej wobec służby), nabierała przez to oryginalności. Czuł w powietrzu dramat, a ponieważ w grę wchodziły osoby o znanych nazwiskach, z dobrej sfery, więc nie wydawał już się sobie śmiesznym, co prześladowałoby go niechybnie, gdyby miał tylko przed sobą suchy fakt zbyt pospiesznego zaproszenia na kolację do gabinetu pierwszej lepszej, spotkanej na ulicy kokoty czy półkokoty. Napróżno jednak chciał pannę Czesławę wybadać, dlaczego ją tak niezwykle zajmowały stosunki rodzinne Przecławskiego. Na wszystkie pytania odpowiadała mu z zawziętym uporem w wyrazie twarzy.

— Nie powiem panu.

W pijanym mózgu pozostał jej tylko jeden nakaz, żeby nie skompromitować Przecławskiego. Cóżby ten jakiś facet pomyślał sobie, gdyby się dowiedział, że narzeczona Przecławskiego daje się na ulicy zapraszać nieznajomym mężczyznom na kolację. Z mosiężnej klamki przy drzwiach, na której machinalnie zatrzymała wzrok, wysunęła się nagle druga taka sama klamka i podskoczyła ku górze. Panna Czesława zaczęła mrugać szybko oczami i zobaczyła przed sobą dziwaczną twarz o dwóch ustach i podwójnej parze oczu. Wydało jej się to tak zabawne, że wybuchnęła głośnym śmiechem.

* * *

Wróciwszy do swego biednego pokoju, panna Czesława upadła przed łóżkiem na kolana i zaczęła płakać tak strasznie, że słyszano to doskonale w całem mieszkaniu. Właścicielka, pani Terlecka, podsłuchiwała przez chwilę pod drzwiami, a potem je uchyliła.

— Co się pani stało?

Ponieważ panna Czesława nie odpowiedziała, więc pani Terlecka zbliżyła się do łóżka i zaczęła ją szarpać za ramię.

— Niechże się pani uspokoi, umarł pani kto, czy co?

— Nie, nie... Nic mi się nie stało. Dajcie mi spokój.

W odpowiedzi tej pani Terlecka dopatrzyła się nietylko braku serca, ale i zuchwalstwa. Bądź co bądź, panna Czesława była tylko popychadłem sklepowem, więc, zdaniem pani Terleckiej, nawet w najwyższym bólu i rozpaczy nie powinna była zapominać o różnicach socjalnych. Konieczność przestrzegania tego prawa w życiu pani Terlecka odczuwała tembardziej, że patrzyła własnemi oczami na rewolucję bolszewicką w Rosji i widziała, do jak strasznych rezultatów mogą doprowadzić pozornie drobne rozluźnienia zasad.

— Jeżeli się komu nic nie stało, to nie wrzeszczy się o ósmej rano na cały dom — zauważyła sucho. I, nie doczekawszy się i na tę uwagę odpowiedzi pokornego usprawiedliwienia, ciągnęła już dalej bezosobowo:

— Przyzwoite kobiety nie spędzają nocy po za domem. Co zanadto, to niezdrowo. Każda cierpliwość ma swoje granice. Wymawiam mieszkanie. Trzeba pamiętać, że ze mną wojny na nic się nie zdadzą. Sakum, pakum i dowidzenia. W trudniejszych sytuacjach dawałam sobie radę.

Z całej tej gadaniny pannie Czesławie utkwiły w głowie tylko wyrazy „o ósmej rano". I to ją uratowało. Była tak otępiała, ża zatraciła nietylko poczucie czasu, ale i rzeczywistości. Kiedy jednak wpadło jej w uszy „ósma rano", automatycznie zbudziło to w jej znałogowanym mózgu myśl, że trzeba iść do sklepu. Przebrała się pośpiesznie i uciekła z mieszkania, gdzie groziło jej w samotności chyba samobójstwo.

Nie pamiętała wcale chwili wyjścia z gabinetu restauracyjnego. Odzyskała świadomość w jakimś obcym pokoju, w łóżku, obok nieznajomego, młodego człowieka. Rzeczy jej i bielizna leżały porozrzucane w nieładzie po całej podłodze. Zerwała się z tak przeraźliwym krzykiem, że nieznajomy zatkał jej ręką usta. Potem oboje ubierali się pośpiesznie, w milczeniu, nie patrząc na siebie. Z numerów na drzwiach, które mijała, szukając schodów, odgadła, że był to hotel. Na ulicy zatraciła zupełnie orjentację i przez jakiś czas szła w złym kierunku, oddalając się od domu. Największem przerażeniem przejmowała ją ta czarna luka w pamięci, z której nie mogła wykrzesać choćby strzępu jakiegoś obrazu.

Sobieszczak spojrzał na nią z przerażeniem.

— Co się pani stało?

— Chora trochę jestem.

— Tego jeszcze było potrzeba. No, ale trudno. Niech pani wraca do domu.

— Nie, nie — zaprotestowała gorączkowo.

— Właśnie, jak pani chora, to wtedy się pani robi pracowita. Nie może się pani ludziom pokazywać. Bóg wie, co sobie o mnie pomyślą.

— Błagam pana, niech mi pan pozwoli zostać w sklepie.

— Dlaczego?

— Bo ja się w domu powieszę.

Sobieszczak machnął ręką.

— Nie, droga pani, ja mam tego wszystkiego dość. Niech pani idzie chorować i już do sklepu nie wraca. Ja potrzebuję kasjerki, którąby pracowała. Pani ma czem innem głowę zajętą. Pretensji pani mieć nie może, bo zapłaciłem pani z góry, a jeszcze dwa tygodnie do miesiąca zostaje.

Przez chwilę panna Czesława głosu z gardła wydobyć nie mogła.

— Za cóż pan mnie chce wydalać... Przecież... Wie pan, jakie mam przejścia.

— Niech pani sobie głowy nie zawraca. Przecławski na dobre zwarjował i niema rady. Dowidzenia.

— A cóż ja ze sobą zrobię?

— Nie wiem. Ja już mam nową kasjerkę i zaraz przyjdzie. Przecież pani chyba sama rozumie, że tak pracować nie można.

Panna Czesława skinęła głową, jakby przyznając Sobieszczakowi słuszność. I po chwili odezwała się drżącym głosem:

— A kto panu mówił o Przecławskim?

— Wszyscy mówią.

— Wszyscy, wszyscy... I wczoraj mówili wszyscy, a pan nie wierzył.

— Bo mi pani zawróciła w głowie. Ale jak się na zimno zastanowić, to widać, że to wszystko nie miało sensu. Zresztą czy zwarjował, czy nie, mogę panią zapewnić, że się z panią nie ożeni.

(D. c. n.).

4) # MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA

Gdy który z nas ugodzony był w twarz i jęczał, krzyki radości wznosiły się ze wszystkich stron i słychać wciąż było ten sam głos, powtarzający:

— Nie uskarżaj się, są rzeczy gorsze.

Po pewnym czasie rozpoznałem w tłumie tego, kto przemawiał w ten sposób. Był to chłop ospowaty, niski, o torsie bardziej szerokim, aniżeli wysokim. Zwano go Kiiko, a towarzysze jego zdawali się go bardzo lubić.

Dowiedziałem się wkrótce, że to był kat oficjalny przy atamanie.

Na razie zachowywał się spokojnie, pozostawiając innym przyjemność kamienowania nas.

Dzięki tej niewinnej zabawie, w której nasz przyjaciel Stiopa nie był najmniej zręcznym, nasze ubrania stały się wkrótce łachmanami, a usta mieliśmy pełne krwi. Lecz kamienie nie robiły już na nikim wrażenia. Ciała za każdem nowem uderzeniem drgały tylko lekko, jak w gorączce. To było wszystko, lecz otaczające nas szydercze potwory nie zadawalniały się tym brakiem wrażliwości. Djabeł jeden wie chyba, jakie nowe rozrywki mogły wymyśleć, gdy powstrzymała je wrzawa:

— Bat'ko! bat'ko!...

Głowy nasze uniosły się pomimo wyczerpania. Nareszcie przybywał. Coś zajdzie decydującego. Usłyszałem szepty nadziei: nic już nam odebrać nie mógł. Byliśmy rozbrojeni, unieszkodliwieni. Wypuszczą nas pewno na wolność.

Milczałem, czekając, aż zobaczę go, gdyż wszystko zależało od wyrazu jego twarzy.

Lecz nie mogłem go dostrzec tak łatwo, gdyż zbyt był otoczony, gdy wysiadał z powozu, który rozhukane rumaki zatrzymały tuż przed nami. Cały jego sztab był tam zgromadzony. Jego brat, zuch prawdziwy, którego później zabito we wściekłym ataku: piękny Laczenko, dawny marynarz, ubrany w bluzę marynarską, wyciętą u szyi i w buty sznurowane, zdobne w ostrogi. Pietryczenko Krępy, Guro, cienki jak tyczka, Kiiko, który przyłączył się do nich, oraz inni, z których niewielu żyje dotąd.

Rozmawiali długo ze śmiechem i okrzykami.

Nagle ze zwartej ich grupy skoczył ku nam mały mężczyzna i z gwałtownego jego ruchu zrozumiałem, że śmierć szła ku nam.

Nie widziałem wówczas ani jego twarzy, ani oczu, ujrzałem tylko błysk źrenic chorobliwy, nie do zniesienia. Przysięgam na Boga, że pijany nie był.

Czuło się to w każdym jego ruchu.

Było to coś gorszego. Sprężyna straszliwie naciśnięta, która musiała się odprężyć. Żądza aż do paroksyzmu spotężniała i gotowa na wszystko.

Roznosiciel dzienników chwycił nagle mego przyjaciela za ręce, zbliżył twarz swą do jego twarzy i skandując słowa swe w żywszym rytmie, zawołał:

— Moja opowieść zajmuje pana, hę? Miło jest siedzieć sobie w cieple, wygodnie, przed szklanką dobrego wina i słuchać rzeczy, które przejmują miłym dreszczykiem trwogi, podczas gdy zewnątrz cała armja policajów czuwa nad kochanem bezpieczeństwem pana.

Ach! wy wstrętni!...

Ale sprobujcie przecie przedstawić sobie scenę, zróbcie wysiłek, aby ją przeżyć, choćby przez sekundę, a zrozumiecie, czemu mam ochotę plunąć w te wasze spokojne twarze.

No, postaram się dopomóc waszej wyobraźni.

Oto tło:

Urocza wioseczka ukraińska, świeży poranek jesienny, dużo słońca, wilgotne łąki, niebo smutne, łagodne, po domach kobiece głosy. Aktorzy — jeśli można ich tak nazwać: grupa ludzi okrwawionych, drżących, z prośbą, której nie śmią wymówić: Łaski! łaski!... Drżą wstrząsani drobnemi dreszczami. Oczy ich szukają instynktownie ratunku, lecz napotykają tylko te stroje dziwaczne i twarze pełne okrucieństwa i rozbestwienia.

Ale zwłaszcza, zrozumiejcie to dobrze, oczy ich usiłują uniknąć ognistego, niemożliwego do wytrzymania spojrzenia, warjackiego spojrzenia tego małego człowieczka, który z twarzą podaną naprzód i z ciałem napiętem do rzutu, jak u ptaków drapieżnych, chciwie się im przygląda z rękami w kieszeniach. Pamiętajcie, że to oczekiwanie, ta cisza, trwają kilka sekund, i, że w każdym z tych, odczuwających to spojrzenie, rośnie strach, który za chwilę zamieni się w obłęd.

Nagle mały człowieczek wyciąga prawą rękę z kieszeni, daje nią znak i krzyczy:

— Rozsiekać ich i po wszystkiem!

Nikt z nas jeszcze nie zrozumiał znaczenia tego rozkazu, gdy kat Kiiko z szablą podniesioną rzuca się na ofiary i uderza w prawo i w lewo. Czy jest niezręczny, czy robi to umyślnie? Lecz żaden z jego ciosów nie niesie odrazu śmierci. Ścina palec, ucho, płata udo.

Zmęczony, purpurowy, Kiiko zatrzymuje się, sapiąc ciężko. Piękny Laczenko, elegancki i zręczny, zastępuje go. I szabla lata i uderza znowu, jakby szatkując kapustę. I czerwona ciecz tryska, i krzyki, poranione twarze, tułowia bez głów...

Całą eskortę owłada szał...

Rzuca się do roboty. A za nimi, z rękami w kieszeniach, z uśmiechem roztargnionym na zaciśniętych wargach, stoi mały człowieczek, który to wszystko rozpętał. Patrzy z ciekawością i nic innego wyczytać nie można w ostrem jego spojrzeniu.

Lecz oto rzeź skończona...

Zamiast ludzi, przerażonych i doprowadzonych do stanu strzępów ludzkich, lecz jednak żywych, piętrzą się małe stosy bezkształtnych trupów.

Wówczas mały człowieczek wstrząsa się konwulsyjnie i krokiem szybkim i krótkim, jak kłus psa, biegnie ku stosom ciał.

Na drodze swej spotyka uciętą głowę, odrzuca ją kopnięciem buta i wskakuje na trupy. Depcze piersi, brzuchy, jeszcze ciepłe, wyciska z nich strumienie krwi i powiada spokojnie, tak, spokojnie, — niech zginę w więzieniu, jeśli kłamię, — powiada spokojnie:

— I po wszystkiem!...

Poczem szuka spojrzeniem kogoś, coby zaprzeczył, raz jeszcze rzuca jakby tryumfujące wyzwanie, swoje: „I po wszystkiem!" i biegnie ku innemu stosowi ciał, na którym znów zaczyna swój wściekły taniec.

Roznosiciel puścił ręce mego przyjaciela. Głowa jego, o twarzy, z której wszystka krew ściekła, naraz

opadła na poręcz krzesła i zdawało się przez chwilę, że zemdleje. Kieliszek wódki, którą mu Stiopa kazał gwałtem wypić, ocucił go.

Nerwowe tiki, twarz jego wykrzywiające, stały się jeszcze wyraźniejsze, lecz palce, tak ruchliwe, przestały się poruszać, jakby sparaliżowane.

— Zawsze tak bywa, — począł głosem wyczerpanym. — Obiecywałem sobie niezwykłą przyjemność z tą historją o kopnięciu nogą. Teraz efekt jest popsuty. Ostatecznie, co pana może obchodzić po opisie tej krwawej orgji, w jaki sposób ocalałem? Słuchaj, Stiopa, ty opowiedz zamiast mnie.

Kozak powiedział spokojnie, tak, jakby ta przygoda wydawała mu się całkiem zwykłą:

— No cóż? to nie trudno odgadnąć. Rzuciłem się na niego, nie tknąwszy innych, bo mi się nie podobała jego morda. On tak się przestraszył, że mu to dodało sił i odwagi.

Gdy wznosiłem swą szablę, kopnął mię tu z lewej strony, w brzuch. Trzeba przyznać, że kopnięcie było mistrzowskie i znalazłem się w chacie z grubą Aniutą, która mnie pielęgnowała. Podobno nieprzytomny byłem całą godzinę.

Oczywiście, sprawa ta podobała się bat'ce. Rozśmieszyła go, a on się nie śmiał często. Wówczas ułaskawił tego człowieka, a on szybko się zapoznał z innymi fabrykantami słów, którzy kręcili się koło bat'ki niewiadomo poco.

I stał się jednym z naszych wodzów. Wszystko to niewielka sztuka.

Przyjaciel mój zaledwie wysłuchał tego opowiadania. Całą jego uwagę, całą wrażliwość, pochłonęła wizja tych trupów posiekanych i tego człowieka, który tańczył po nich. Słyszał dużo rzeczy okropnych z czasów rewolucji rosyjskiej, lecz ta grozą swoją przewyższała wszystkie.

Powiedział mimowoli:

— Cóż to za krwawe zwierzę, ten wasz Machno!

Słowa te zdawały się galwanizować opowiadającego. Palce jego znów zaczęły się poruszać z jakąś chorobliwą zwinnością. Ironiczny grymas otworzył nawpół usta jego, w których brakło wielu zębów i z grymasem tym rzucił sardonicznie:

— He, he, mój panie kochany, czy pan myśli, że sprowadziłem go tu, aby opowiadać moralne historje?

Pomyślał chwil kilka, przeciągnął się.

— Krwawe zwierzę, — powiedział zwolna. — Możliwe, ale spotkała go dziwna przygoda.

Opowiem ją panu, a potem pójdzie pan spać z wystarczającym zapasem refleksji.

Ale chwileczkę, dość mam tych napojów przeklętych. W gardle mi zaschło. Poproszę o szklankę świeżej wody.

Wypił chciwie i powrócił do swej pierwotnej pozy: z czołem ściśniętem w dłoniach, które tylko czarną bródkę odkrywały, skupiał się długo.

Uspokojony, niemal uśmiechnięty, straciwszy całą swą chorobliwą złośliwość i cyniczną ironję, począł opowiadać. Ze starannego doboru słów znać było, że ten epizod opowiada nie poraz pierwszy, i, że ze szczególną przyjemnością układa i cieniuje swą opowieść.

— Było to w grudniu, w 1918 roku, — mówił. — Machno w ciągu kilku miesięcy bezlitośnie obdarł ze skóry niemieckie oddziały i najemników hetmana Skoropackiego. 118 ataków przeciw eszelonom, konwojom, wywiadom! Lecz było to tylko przygotowanie.

Niemcy, opuszczając Ukrainę, porzucali olbrzymi materjał bojowy. Bat'ko go zagarnął. Mógł w ten sposób uzbroić swe bandy, które dotychczas posiadały tylko karabiny różnego rodzaju i noże.

Wówczas zmienił styl. Dotąd napadał na oddziały wywiadowcze, odosobnione, na tyły, na furgony z żywnością. Teraz postanowił zdobyć miasto. Najpierw pochlebiało to jego dumie, a dalej mogło dostarczyć niebylejakiego łupu jego bandzie.

Na pierwszy ogień wybrał Ekaterynosław.

Nie było to trudne, coprawda. Nigdy żadne miasto nie broniło się tak słabo. Ale bat'ko, dumny z nowej artylerji, odebranej niemcom w odwrocie i dla uczczenia, jak mówił, swego przybycia wśród burżujów, rozkazał, by ogień był nieustanny.

Więcej niż dwa tysiące szrapneli obsypało Ekaterynosław. Machno z lunetą w ręku śledził ich wybuchy i przysięgnę, że nigdy zmysłowiec nie miał przy kobiecie takiego uśmiechu rozkoszy na ustach.

Tam płonęły pożary, stal karbowana pocisków wydzierała ludziom żywe ciało. Całe duże miasto drżało w dreszczu agonji.

A on, bat'ko Machno, dawny więzień, trzymał w swem ręku te wszystkie ludzkie żywoty. Co za odwet.

Bombardowano aż do wieczoru.

Wówczas ze zwierzęcemi okrzykami ludzie Machny galopem rzucili się ku miastu, które dawno otwarło swe bramy. Nie będę opisywał ich jazdy przez puste ulice, napadów na składy win i wódek, płonących domów, jęków kobiet gwałconych, pijaństwa i rozpusty.

Powiem tylko, że to była piękna noc wśród najpiękniejszych, gdyż bardziej, niż przyjemności alkoholu i rozkoszy cielesnych, dawała poczucie niezmiernej potęgi, nieograniczonej wolności.

Ach! anarchiści teoretycy mogą sobie bredzić nad swemi szematami. Nigdy nie odczują tego, co ja odczułem, idąc śladami Nestora Iwanowicza Machny. I za to mu dziękuję.

Rabunek trwał pięć dni.

Nie chodziło już o okup. Zabierano miastu i jego mieszkańcom wszystko, co było drogocennem. Aby dodać więcej smaku tej operacji dobrze prowadzonej, rozstrzeliwano bez przerwy.

Machno ani myślał powstrzymywać swych ludzi: przeciwnie, dawał im przykład, i jego osobiste wozy były naładowane wyborową zdobyczą.

Pragnąc jednak zadowolnić chorobliwą swą ambicję, chciał nadać okupacji Ekaterynosławia charakter pompatycznej legalności, pozory rządów regularnych i stałych. To też naznaczył gubernatora miasta, lecz chcąc być pewnym, że ten gubernator nie okaże słabości charakteru, wybrał na to stanowisko kata swego Kiiko, o wyglądzie goryla.

Temu właśnie Kiiko polecono wydawać przepustki tym mieszkańcom, którzy zechcą opuścić miasto. Takich amatorów było sporo, jak możecie sobie wyobrazić. Dobrze się czuli w Ekaterynosławiu jedynie nicponie, którzy zresztą przyłączyli się do ludzi Machny i prostytutki, którym nigdy nie działo się tak dobrze, gdyż ludzie Machny szczodrze szafowali pieniędzmi, zarówno jak i krwią.

(D. c. n.).